

Tomasz Zarycki

Instytut Studiów Społecznych im. Profesora Roberta B. Zajonca UW

Recenzja książki Jana Sowy, *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą*. Kraków: Universitas.

Opublikowano w: *Stan Rzeczy*, no. 1(3) / 2012, s. 222-230

Jan Sowa opublikował ciekawą książkę będącą istotnym wkładem do dyskusji nad źródłami polskiego zacofania, potencjałem tradycji przedrozbiorowych jako symbolicznego zasobu endogenicznego dla polskich prób modernizacji oraz debaty na temat odniesienia teorii postkolonialnej do polskiego kontekstu.

Stosunek Jana Sowy do spuścizny Rzeczypospolitej Obojga Narodów jest jednoznaczny. Już na początku swojej książki pisze, iż „Polacy nie mieli żadnych poważnych osiągnięć, które wywarłyby wpływ na kulturę europejską, nie mówiąc już o światowej”. W jej dalszych fragmentach utrzymuje, że „specyficznie polski wzór państwowości [...] okazał się raczej wzorem braku państwowości. Nie był on propozycją, którą ktokolwiek poza ideologicznie zaślepionymi Polakami traktował jako faktyczną alternatywę dla innych ustrojów”, ustrój ten „traktowano jako kuriozum, które nie może długo istnieć”. Kończąc swoją obszerną pracę, autor uznaje zaś, iż „unikatowe cechy polskiej sfery publicznej to raczej piniactwo, warcholstwo, negatywnie rozumiana anarchia wywodząca się z tradycji demokracji szlacheckiej, zawiść i zamięłowanie do intryg, korupcja oraz ksenofobia”. Obok takich autorytatywnych ocen polskiej przedrozbiorowej spuścizny kulturowo-politycznej Sowa odwołuje się także do argumentów na rzecz swoich tez o naturze pragmatycznej. Otóż w szczególności pisze on, że tradycje I Rzeczypospolitej są dziś bezużyteczne, bo nie były w stanie doprowadzić do takich istotnych przełomów modernizacyjnych jak uwłaszczenie chłopów.

Ważnym wątkiem wyводу Sowy są rozważania nad odpowiedzialnością za porażkę projektu I Rzeczypospolitej, która to porażka, jest *de facto* uzasadnieniem delegitymizacji przez autora dużej części spuścizny przedrozbiorowej państwowości. Sowa nie ma tu większych wątpliwości i w kolejnych rozdziałach ze swadą argumentuje, że za upadek I RP odpowiedzialna była jednoznacznie i prawie wyłącznie jej dominująca warstwa – szlachta. Referując dość szczegółowo, i co warte uznania, z odwołaniem do bogatej literatury przedmiotu, proces wchodzenia Rzeczypospolitej w orbitę kształtującego się nowoczesnego systemu gospodarki światowej na bardzo niekorzystnych warunkach, autor za wzrastające uzależnienie kraju od zachodniego rdzenia jednoznacznie winę składa na szlacheckie elity. Określa je mianem kompradorskich i pisze w szczególności o procesie uzależnienia kraju od zachodniego centrum jako „samokolonizacji związanej z brakiem przymusu z zewnątrz”. Jak twierdzi, zachodni kapitaliści skorzystali jedynie z okazji, a to raczej elity szlacheckie pogłębiły zacofanie, walcząc z kupcami i mieszczaństwem. Wspomina o „wyjątkowym i totalnym egoizmie polskiej szlachty”, która „podporządkowała miasto panowaniu wsi i utrzymała znaczną część ludności w idiotyzmie życia wiejskiego”. Można wspomnieć, że autor podejmuje jednocześnie próbę podziału czynników rozwoju kraju na te „poza kontrolą” jego mieszkańców i te „pod kontrolą”. Podział ujęty w rozbudowanej tabeli wydaje

się jednak dość arbitralny, bo trudno jest podzielić szeroko zdefiniowane cechy organizacji społecznej i gospodarczej na jednoznacznie kontrolowalne i niekontrolowalne. Sowa wspomina np. „słabość miast” jako czynnik jednoznacznie znajdujący się pod kontrolą, a więc winę za słabość kraju w tym zakresie bez wahania zrzuca na elity szlacheckie. Sugeruje także tym elitom konkretne kierunki ekspansji politycznej i gospodarczej, np. uważa, iż powinny się one były skoncentrować zamiast ekspansji na wschód na eliminacji Prus i ekspansji morskiej. W rozważaniach Sowy intryguje przypisanie prawie całej sprawczości w szerokim zakresie procesów rozwoju kraju niemal wyłącznie szlachcie. Redukuje role obcych mocarstw i, jak wspomniano, kapitalistów zachodnich w okresie przed zaborami. Również w okresie zaborów pomniejsza odpowiedzialność za negatywne procesy zachodzące na terenie państw kontrolujących dawne polskie ziemie. Szczególnie wyraźne jest to w odniesieniu do zaboru austriackiego i wybuchających w nim konfliktów na tle narodowościowym i klasowym. Ze swojej polityki „dziel i rządź” Austriacy są niejako rozgrzeszani, gdyż jak twierdzi Sowa, używali podziałów stworzonych nie przez siebie, ale przez „szlacheckich włodarzy Rzeczypospolitej”. W zaborze rosyjskim także to Polacy odpowiedzialni są wg autora, przynajmniej częściowo, za wzmacnianie nacjonalizmu rosyjskiego. Walczyli bowiem w powstaniach pod hasłami zbyt narodowymi, a za mało obywatelskimi. W efekcie „padli ofiarą idei, którym sami hołdowali”.

Intrygujący jest w książce zwłaszcza sposób, w jaki interpretowany jest sam akt rozbiorów. Według autora Rzeczpospolita była państwem martwym już od momentu ustanowienia monarchii elekcyjnej. Stała się wtedy tytułowym „fantomowym ciałem króla”, a jej likwidacja przypieczętowała jedynie formalnie stan faktyczny. Jak sugeruje bowiem Sowa, Rzeczpospolita Obojga Narodów istniała jako państwo w „standardowym sensie tego słowa” nie więcej niż trzy lata – od unii lubelskiej do śmierci Zygmunta Augusta. W latach 1572–1795 była jedynie „ciałem fantomowym”, dla którego rozbiory były jedynie widocznym „objawieniem jego nieistnienia”. Można zauważyć, że taka interpretacja jest ni mniej, ni więcej tylko legitymacją rozbiorów w języku psychoanalitycznym. Autor nie zatrzymuje się jednak na niej i sugeruje następnie, że rozbiory były odpowiednikiem psychoanalitycznej kastracji, która choć bolesna, była jednak zabiegiem koniecznym „do tego, aby podmiot mógł w ogóle zaistnieć w świecie”. Odwołując się do Frantza Farona, Sowa sugeruje także, że zabory, podobnie jak kolonializm, „stworzyły przymus przyspieszonej ewolucji w kierunku nowoczesności”. Nieco przerysowując tę narrację, można chyba na jej podstawie dojść do wniosku, że do dziś powinniśmy być wdzięczni zaborcom za kastrację, której na nas dokonali. Nie tylko wyzwoliła nas z ciągnących w przepaść pożądliwych emocji, ale dała ponad 100 lat na niezbędny namysł nad własnym jestestwem. Ona doprowadziła nas w efekcie do lepszego samopoznania pozwalającego finalnie na „zaistnienie w świecie”. W tym czasie swoistej narodowej refleksji zaborcy dokonali zaś za nas fundamentalnych modernizacyjnych reform. Ze swą dawną irracjonalną tożsamością szlachecką Polacy nigdy samodzielnie by ich nie zdolali przeprowadzić, a dzięki zaborom udało się zarówno unowocześnić polską świadomość, jak i przy okazji niejako zmodernizować kraj społecznie i gospodarczo.

W swojej narracji dotyczącej okresu polskiej monarchii elekcyjnej Sowa silnie idealizuje monarchie absolutne jako jedyny model modernizacji w omawianym okresie historii. Jak twierdzi, Polska jako monarchia absolutna nie tylko by nie upadła, ale byłaby potęgą. W swojej elekcyjnej formie, wg Sowy, Rzeczpospolita była fikcją, a jej władca nie rozporządzał żadną siłą. Autor konsekwentnie oskarża szlachtę o ograniczanie rozwoju

mieszczanstwa, a to ostatnie wini o uleganie szlacheckim wzorcom, w szczególności sarmackim. Co więcej sugeruje, że demokrację szlachecką można uznać nawet za „odmianę totalitaryzmu”, bo „stawiała na pustym miejscu jakąś fantazmatyczną jedność ukonstytuowaną w oparciu o to, co społeczne lub etniczne”. Do współczesnych konsekwencji dominacji ideałów demokracji szlacheckiej Sowa zalicza szlachecką obsesję zgody, poszukiwanie jedności, które marginalizuje „chłopów, mieszczan, Żydów, reakcjonistów, postkomunistów, gejów, lesbijek, feministek, wykształciuchów itd.”. Odwołując się do Daniela Beauvois, Sowa sugeruje wręcz, że demokracji szlacheckiej nie było, zawsze stanowiła mit, oparty do tego otwarcie na wykluczaniu wszystkich nieprzynależących do stanu szlacheckiego. W tym miejscu nie sposób nie zauważyć, iż o podobną „mityczność” oskarżać by można w mniejszym lub większym stopniu większość fundacyjnych narracji współczesnych demokracji zachodnich. Nie brak już prac dekonstruujących rewolucję francuską jako wydarzenie, którego „realny” przebieg nie miał zbyt wiele wspólnego z identyfikowanymi z nią wzniosłymi ideałami i wyidealizowanymi aktorami. Równie wiele wiadomo o problemach z budową inkluzywnego społeczeństwa obywatelskiego przez naszych zachodnich sąsiadów w XIX wieku. W szczególności nie uporali się oni nigdy z integracją swoich polskich mieszkańców w ramach wspólnoty państwowej, co można uznać za porażkę analogiczną do tej, jaką poniosła Rzeczpospolita na Ukrainie w stosunku m.in. do Rusinów.

Sowa w swoim ujęciu historii Polski wydaje się zwłaszcza nie przyjmować do wiadomości wielkiej redefinicji polskiego obywatelstwa, jaka nastąpiła u schyłku XIX wieku i została zwieńczona powołaniem II Rzeczypospolitej jako republiki, w której prawa obywatelskie zostały symbolicznie osadzone w szlacheckiej tradycji, na czele z formalnym przywilejem używania tytułu „pan/pani”, rozszerzonym na wszystkie stany. Ta przemiana może być oczywiście krytykowana z wielu punktów widzenia, m.in. z racji tego, że symbolicznie do dziś uprzywilejowała w polskim społeczeństwie post-szlachecką inteligencję. Nie sposób nie zauważać w niej jednak specyficznej ścieżki budowy modelu polskiego obywatelstwa, swoistego odpowiednika rewolucji francuskiej, który nazwać by można „rewolucją inteligentką”. Owa polska inteligentka rewolucja nie tylko przegrywa u Sowy z rewolucją francuską jako źródłem uniwersalnych wartości, ale nie jest nawet dostrzeżona.

Bardzo ważnym wątkiem rozważań autora jest problem dawnych kresów, ich rola we współczesnej polskiej tożsamości i możliwe odniesienia kresowego dyskursu do teorii postkolonialnej. Jak ujmuje to Sowa, polska obecność na kresach miała charakter „obcej kulturowo dominacji” i tak ją odczytywali ówczesni Rusini, odczytują dziś współcześni historycy ukraińscy, a także zachodni, w szczególności często cytowany z uznaniem przez autora historyk francuski Daniel Beauvois. Sowa podkreśla, iż „ani wtedy, ani nigdy później kresy nie były polskie”, a Polska nie miała nigdy żadnych „historycznych praw” do ziem kresowych. Ludność kresów była w stosunku do polskiej czy spolonizowanej elity obca etnicznie, językowo i religijnie. Autor, cytując szereg wcześniejszych krytyków dyskursów kresowych czy kresoznawczych, rozprawia się także z mitem ich wielokulturowości. Jak to ujmuje, w jej miejsce *de facto* dominował tam głównie ucisk wg „dzisiejszych standardów współżycia”. Nie było też żadnego wzajemnego przenikania się kultur ani sąsiedztwa. Wszystkie te opowieści o harmonijnej wielokulturowości kresów wg Sowy „służą przesłonięciu koszmaru, jakim były tamtejsze stosunki społeczne”.

Podzielając wiele z krytycznych ocen idyllicznych dyskursów kresowych, chciałbym jednak zastanowić się nad tym, na ile dość charakterystyczna dekonstrukcja Sowy sama nie opiera się na pewnych założeniach, których neutralność można by kwestionować. W szczególności mam tu wątpliwości, czy Sowa nie odwołuje się *de facto* do założeń logiki nowoczesnego państwa narodowego. Zdaje się on gotów na przyznawanie swoistego prawa do symbolicznego czy nawet realnego panowania nad danym terytorium, gdy może być ono uznane za tożsame w wymiarze etnicznym, religijnym i językowym z cechami grupy dominującej. Budzi także zastanowienie kategoria „praw historycznych” do terytorium, której używa Sowa. Jak owe „prawa” miałyby konkretnie wyglądać? Po ilu latach „zasiedzenia” na danym obszarze dana grupa miałaby je uzyskiwać? Można by zadawać też szczegółowe pytania, np. czy Polska ma do dziś „historyczne prawa” do tzw. Ziemi Zachodnich, znanych dawniej jako Ziemia Odzyskane? Jeśli nie ma ich w pełni, to jakie powinny być tego faktu konsekwencje? Podobne pytania odnosić by można do wątku wielokulturowości. Skoro wielokulturowość kresów była „fikcją”, to jakie są normy „prawdziwej wielokulturowości?”. Czy różniłyby się one dla XVI–XVII wieku i dla czasów dzisiejszych? Czy możliwa jest w praktyce do osiągnięcia pełna równość wszystkich kultur, czy dialog między grupami etnicznymi osiągalny jest jako pewien realny stan? Czy jeśli te normy istnieją, spełnia je współczesny Londyn czy Nowy Jork i inne metropolie Zachodu? Kto ma wreszcie prawo, by orzec, która z realnie istniejących wielokulturowości jest „prawdziwa”, a która fikcyjna?

Rozważania autora na temat kresów budzą moją wątpliwość jeszcze z innego powodu. Myślę bowiem, że istotną stawką w tym zakresie nie jest już kwestia prawa do idealizacji polskiej obecności na tym obszarze. Spór między tradycyjnymi mitotwórcami i dekonstruktorami ciągle oczywiście w Polsce trwa, ale ważniejszą stawką w grze wydaje się tu samo prawo do mówienia o kresach, prawo do udziału w wytwarzaniu ich dominującego obrazu w dyskursach globalnych. Do ważnych kwestii należą więc wg mnie pytania: jakie prawo mają do udziału w tym procesie tworzenia wiedzy poszczególne grupy narodowe i kto powinien je reprezentować? Chodzi więc tu nie tylko o to, jak krytycznie będziemy kształtować pamięć o polskiej obecności na kresach, ale na ile w ogóle będziemy dopuszczać do głosu aktorów polskich? Niezwykle istotnym zagadnieniem jest też to, na ile będziemy przyznawać głos obecnym elitom państw narodowych istniejących na tych terenach i czy uznamy prawo do przesądzającego głosu raczej ich frakcjom „narodowym/nacjonalistycznym” czy też liberalnym albo może post-sowieckim/prorosyjskim? Pytać można także bardziej szczegółowo o to, na ile trzeba dopuszczać do głosu w procesie tworzenia dominującego obrazu tych obszarów różnych przedstawicieli Rosji, którzy są dziś często wykluczani z racji przypisywania Rosji oraz ZSRR statusu zaborcy i okupanta.

W tym kontekście warto odnieść się do podnoszonej przez autora kwestii, dlaczego zabór rosyjski pamiętany jest dziś najgorzej ze wszystkich trzech zaborów. Autor odwołuje się do jednej z tez mojej książki *Peryferie: Nowe ujęcia relacji centro-peryferyjnych*. Chodzi mianowicie o dominującą w Polsce rolę Warszawy i jej inteligenckich elit, które uzyskały przesądający wpływ na kształtowanie się dominującego kanonu polskiej tożsamości narodowej. Sowa wspomina jednocześnie o hipotezie znaczącej roli terytoriów polskich dla imperium rosyjskiego i jego obawach przed polskim ruchem narodowym oraz o czynniku, jakim było uważanie się przez Polaków za kulturowo i cywilizacyjnie lepszych od Rosjan, co powodowało, że próby rusyfikacji kończyły się zwykle niepowodzeniem.

Autor nie przytacza innej mojej hipotezy ze wspomnianej książki. Chodzi mianowicie o podejrzenie, że tak negatywny współcześnie ogląd spuścizny rosyjskiej obecności na ziemiach polskich może być także funkcją niskiego dziś statusu Rosji w hierarchiach międzynarodowych. Innymi słowy, być może, spoglądając dziś na zabór rosyjski, patrzymy nań oczyma współczesnego Zachodu, dla którego Rosja nie ma dużego kapitału symbolicznego, o wiele mniejszy jest jej prestiż w stosunku do okresów prosperity imperium rosyjskiego, a nawet potęgi Związku Sowieckiego. Drugą kwestią, której nie rozwijam w mojej książce, a przy której warto by się tu zatrzymać, jest historyczna geneza inteligencji zaboru rosyjskiego. Nie bez znaczenia wydaje się fakt, iż inteligencja owa wywodziła się ze spauperyzowanej szlachty będącej ofiarą nie tylko procesów ekonomicznych, ale i polityki imperium rosyjskiego, utrudniającej dostęp tej warstwie do karier urzędniczych, jak również tych działań Petersburga, które pozbawiały wspomnianą grupę formalnego statusu szlacheckiego. Efektem było jej zantagonizowanie i przekształcenie w głównego aktora antyrosyjskiego w społeczeństwie polskim. W momencie odzyskania przez Polskę niepodległości to ta właśnie warstwa postszlacheckiej inteligencji stała się grupą dominującą. Upadek imperium rosyjskiego i powstanie Rosji Sowieckiej oznaczały jednocześnie znaczne osłabienie konkurencyjnych dla inteligencji polskich warstw posiadających, zarówno bogatego ziemiaństwa, jak i arystokracji, które utraciły większą część majątków i przywilejów statusowych, a także burżuazji silnie poszkodowanej przez rewolucję bolszewicką. Ten moment historyczny oznaczał także polityczną klęskę znaczących wcześniej sił prorosyjskich w społeczeństwie polskim. Z upadkiem imperium kończą się bowiem zarówno plany taktycznych aliansów z caratem endeków, jak i plany na polską autonomię przez demokratyzację Rosji, snute przez burżuazyjnych liberałów.

Od tego momentu nie ma już w Polsce ważnego dylematu, jak sugeruje Sowa. Pisze on, że odwiecznym dylematem Rosjan jest „swoje czy obce”, którego przejawem jest słynny spór zapadnicy v. słowianofile. Dla Polaków wg Sowy dylemat ten miał jakoby formę „wyboru między identyfikacją z Zachodem (o charakterze samokolonizacji, często nieuświadomionej) lub zdominowaniem przez Rosję, która zajmowała pozycję hegemoniczną w obozie słowiańskim”. Trudno zgodzić się co do tezy o szerszej popularności idei państwowańskich wśród polskich elit. Nawet środowiska prorosyjskie z końca XIX i początku XX wieku kierowały się w swoich działaniach raczej przesłankami strategiczno-geopolitycznym lub przekonaniem o roli Rosji jako potęgi gospodarczej będącej ośrodkiem promieniowania nowoczesności. Podobne przesłanki wydawały się także kierować większością elit prosowieckich w okresie komunistycznym.

Dziś jednak trudno jest obronić tezę, iż jesteśmy podzieleni przez dylemat „z Zachodem” czy też „z Rosją”. Współczesny podstawowy polski spór ideowy wydaje się klasycznym sporem o stosunek do dominującego zachodniego centrum, a więc przy wszystkich różnicach sporem analogicznym do rosyjskich debat pomiędzy słowianofilami a zapadnikami. Co więcej, sam autor wydaje się swoją książką w ów spór doskonale wpisywać. Najwyraźniejsze wydaje się to w jej końcowej części, gdy wchodzi w bezpośrednią polemikę ze Zdzisławem Krasnodębskim, a pośrednio także ze Shmuelem Eisenstadtem. W ten sposób wydaje się zajmować pozycję klasycznego polskiego „zapadnika” widzącego jako jedyną dla Polski drogę „emancypacji przy pomocy racjonalnych metod”. Co ważne, emancypację tę uznaje za kluczową dla siebie wartość, a jednocześnie narzędzie do dekonstrukcji narodowych tradycji i mitów postrzeganych w większości jako balast. W opozycji do tego podejścia, do wizji modernizacji uwzględniającej modernizm tzw. warstwy kulturowej zachodniej nowoczesności, stają polscy „słowianofile” na czele ze Zdzisławem

Krasnodębskim i Ewą Thompson. Jak wspomniałem, w polskim kontekście rzadko kiedy odwoływali się oni jednak wprost do idei słowiańskich czy kulturowych związków z Rosją. W Polsce idee słowiańskie związane z delegitymizacją idei współpracy z Rosją zastępowane są w szczególności przez poddane tak emocjonalnej krytyce przez Sowę wartości szlacheckiej demokracji I Rzeczypospolitej.

W narracji Sowy dostrzegam pewną dwuznaczność, która wydaje się charakterystyczna dla wielu innych krytyk spuścizny I Rzeczypospolitej czy projektów odwoływania się do owej spuścizny we współczesnych próbach budowy projektów modernizacyjnych. Otóż z jednej strony autor krytykuje przede wszystkim samą treść owej spuścizny, jej można by rzec, esencję. Jak wspomniano, jawi mu się ona jako niedemokratyczna, nienowoczesna, niesprawiedliwa. W szczególności jest dla niego sprzeczna ze współczesnymi ideałami społeczeństwa obywatelskiego, otwartego, wielokulturowego. Z drugiej strony, pojawiają się w pracy wątki argumentacji odwołujące się nie tyle do treści owej spuścizny, ile do jej pragmatycznych efektów, w szczególności braku użyteczności jako podstawy procesów modernizacyjnych. Które w wariacie narodowym zakończyły się klęską. W tych wątkach autor wyraża m.in. wprost poparcie dla monarchii absolutnej, a następnie ideałów nowoczesnego państwa narodowego jako celu, którego Polsce nie udało się osiągnąć ani na kresach, ani nawet do końca na jej „terytorium etnicznym”. Pisząc na przykład o porażce powstania styczniowego związanej z brakiem identyfikacji chłopstwa z narodową tożsamością drobnej szlachty, Sowa zdaje się ubolewać nad faktem, że I Rzeczypospolitej nie udało się spolonizować chłopów ruskich, a nawet zmobilizować do polskiego ruchu narodowego chłopów będących etnicznie Polakami. Nie jest więc jasne, czy brak tej polonizacji uważa za jeden z dowodów słabości Rzeczypospolitej delegitymizujący dziś nasze prawa do odwoływania się do jej spuścizny w kontekstach pozytywnych, czy raczej za efekt pozytywny, bo związany z zachowaniem odrębności kulturowej, a następnie politycznej Rusinów/Ukraińców? Ten sam autor próby narzucania kultury polskiej uważa przecież za przejawy nieuzasadnionej przemocy. Głównym pytaniem wydaje się tu jednak to, czy to treść, czy rzekome realne implikacje danej spuścizny mają przesądzać o jej dzisiejszym wartościowaniu? Czy gdyby Rzeczpospolita jednak nie upadła, co hipotetycznie przyjmuje za możliwe nawet sam Sowa, mielibyśmy dziś wg niego prawo do uważania jej mitów i szlacheckich ideałów za bardziej wartościowe? Autor wydaje się częściowo skłaniać ku takiej tezie, pisząc w zakończeniu, że „to co uniwersalne nie jest uniwersalne przez przypadek i stoi za nim pewne twarde jądro, jakiś ruch Realnego, które powróci w każdym możliwym świecie i wbrew wszelkim partykularyzmem”. Za „Realne” w tym kontekście można chyba uznać silne struktury państwowe oraz struktury systemu światowego, a w szczególności peryferyjne położenie w nich Polski. Autor w tym kontekście widzi drogę do emancypacji dla swych rodaków w konieczności „rozpoznania, że to co niższe, podporządkowane czy uzależnione, ukonstytuowało się jako takie właśnie i nie istniało zanim nie zostało podporządkowane owemu procesowi podporządkowania”. Nie sposób nie zauważyć, że tak jednoznaczna diagnoza może być postrzegana jako aktywne zaangażowanie się w proces naturalizacji centro-peryferyjnych relacji, w jakie wpisany był i pozostaje wpisany nasz kraj. Może jednak to dobrze, że autor zdecydował się na tak wyraziste przedstawienie swoich poglądów. Przez to jego książka stać się może istotnym impulsem do dalszej debaty nad tak ważnymi zarówno z punktu widzenia teoretycznego, jak i społecznego zagadnieniami.